

**De:** Zdzisław Beksiński [bex@acn.waw.pl]

**Envoyé:** dimanche 19 septembre 2004 09:50

**À:** Piotr Dmochowski

**Objet:** 19.9.2004

Warszawa: niedziela, 19 września 2004

To co napisałem do Banacha, a przesłałem pomyłkowo do Ciebie, nie dotyczyło malarstwa lecz durnowatego filmu pod tytułem NAWIEDZONY (The Haunting), nakręconego w 1999 i którego na pewno nie oglądałeś, bo tego typu filmów po prostu nie oglądasz. Na tym filmie była zaskakująco świetna scenografia, dzięki której obejrzałem, ten chłam do końca. Był to jakiś pałac, zapewne 19-wieczny, tego typu jak zamek w Książu, który znasz. W kilku wymienionych z Banachem mailach, chodziło o to (bo ja go pytałem jako faceta, który jest bez porównania lepszy ode mnie zarówno w znajomości grafiki 3D jak i w zaliczaniu wszystkich filmów, wtedy gdy idą jeszcze na ekranach - bo ja je oglądałem po roku lub później na kasecie nagranej z telewizora) czy ten zamek w ogóle istnieje, czy został w całości wykreowany w komputerze, czy też jest to kompilacją autentycznego zamku, dobudówek ze styropianu zrobionych przez scenografów i wstawek komputerowych zrobionych metodą 3D. To wszystko nic nie miało wspólnego z obrazami, formą et c lecz dotyczyło techniki. Niezależnie jednak od techniki, niektóre dobudówki, takie jak np. olbrzymi kominek z dwoma dziwnymi lwami na zwieńczeniu, które w finale zaczynają się częściowo poruszać, nie były dziełem jakiegoś szeregowego scenografa i robiły ogromne wrażenie – właśnie plastyczne. Był to bardzo wysokiej klasy manierystyczny pastisz przejrzałego baroku.

Sprawa formy u mnie, o czym piszesz, że wypadaloby „jakoś to” zwerbalizować. No właśnie. Problem tkwi w „jakoś to”. Jakoś to potrafię, ale będzie to tylko „jakoś to”. Czemu nie potrafisz uwierzyć, że nie umiem niektórych rzeczy ująć w werbalne terminy i jeśli idzie o mnie samego, obawiam się, by poszukiwanie takich terminów nie uczyniło ze mnie impotentą w zakresie realizowania tego, czego nazwać i zdefiniować nie potrafię. W końcu mnie definiowanie w niczym nie pomoże, a może zaszkodzić, bo wymagałoby myślenia nad tym co jest odruchowe. Gdybyś myślowo zaczął analizować oddychanie (a ja przez to przed wielu - już około 50 laty – przeszedłem, ćwicząc jogę) to mogłoby to doprowadzić do nerwicy polegającej na tym, że zapomniałbyś jak się oddycha i zaczął się dusić (a ja przez to właśnie przeszedłem i ledwie z tego - po ponad roku - wylazłem). Nie widzę powodu, bym dla jakichś mitycznych „przyszłych czytelników”, miał się narażać i na dodatek wysilać, stracić - być może - umiejętność malowania i jeszcze na dodatek najprawdopodobniej do niczego nie dojść z wyjątkiem „wydaje mi się”, bo nigdy nie miałem cienia talentu do tworzenia definicji. Mogę oczywiście na Twoje konkretne pytanie odpowiedzieć równie konkretnie: Przez formę rozumiem głównie kształt tego co buduję i to w jakim stopniu kształt ten odbiega od kształtu rzeczywiście postrzeganego, oraz w jakim stopniu staje się quasi grafologicznym charakterem mojego „pisma”, czyli charakterem linii i krzywizn, jak też pewne specyficzne stereotypy, lub jak kto woli chwyt (dostrzegam je nawet u Mahlera). W obrazach staram się być pseudo-rzeźbiarzem w pseudo-przestrzeni (bo nie jest to próba oddania faktycznej przestrzeni – oświetlenia i perspektywy, co już łatwo daje się zauważyć). W tym wszystkim istnieje też odniesienie do tradycji i w dziedzinie budowy formy, największy wpływ na to co robię w sensie formy, mieli chyba Picasso i Moore. To wszystko co wyżej, to jak w tekście Hamleta „słowa, słowa, słowa”, a słowa nie wiele znaczą. Mechanizmu psychicznego, który determinuje ocenę, że ta linia, ten kształt i ten kolor, odpowiadają w mniejszym lub większym stopniu ideałowi o którym marzę, opisać po prostu nie potrafię i nie jest to lenistwo intelektualne, bo równie sensownie mógłbyś ode mnie wymagać bym skoczył bez tyczki na 5 metrów w górę, a odsyłanie Cię z takimi propozycjami do wszystkich diabłów, określał jako lenistwo sportowe i niechęć do samodoskonalenia.

Zmaganie się z obrazem, polega w moim rozumieniu na tym, że nie udaje mi się znaleźć i namalować formy takiej, którą uznałbym za właściwą i to zarówno w kształcie w linii i w kolorze jak i w położeniu farby. Nie potrafiłem wyżej opisać co to jest forma i o co chodzi, bo sam tego a priori dokładnie nie wiem i w obrazie nie szukam rozwiązania konkretnego a priori, lecz rozwiązania niekonkretnego, które zadowoli mnie (zadźwięczy, zaświeci) dopiero wtedy gdy je ujrzę: tak to jest to!!! Trafiło się ślepej kurze ziarno!!! To bynajmniej wcale nie jest proste i śmiem twierdzić, że dostrzegam to po części także w obrazach innych malarzy: To puszczone lub byle jakie, czyli facet jest głupi i nie wiele wie oraz umie. To wspaniałe i uzyskane najwyższym wysiłkiem. No, a ten trzeci ma w sobie jakiś boski dar trafiania w niektórych obrazach dziesiątkę jakby bez żadnego wysiłku. Co do tego trzeciego, to jednak wydaje mi się, że trafia on raz na kilkadziesiąt razy i te kilkadziesiąt nieudanych razy, określiłbym jako to samo co poszukiwanie w jednym obrazie ale rozłożone w czasie. W końcu istnieją i „modele pośrednie” tych trzech wyżej wymienionych. To wszystko tylko słowa. Gdy zacytowałem ci (bodajże przedwczoraj), jedną linijkę z „Romantyczności” Mickiewicza, to błędnie sądziłem, że ten wiersz doskonale pamiętasz jeszcze ze szkoły, a opisuje on w sposób obrazowy różnice podejścia do zagadnienia, które dyskutowaliśmy. Ja podchodzę do fenomenu twórczości artystycznej od strony emocjonalnej, a Ty od strony analitycznej. To drugie podejście prowadzi moim zdaniem albo na manowce albo do zniszczenia tego co nas porusza w sztuce. To tak jak demontaż zegarka przez dziecko, by zobaczyć do tam tak „tyka”, a przecież to nie „tykanie” jest istotą zegarka.

Zdzisław